ROZMAITOŚCI.

Dnia 31 lipca, N.^er^ 31. roku 1847.

Nieszczęsne podobieństwo.

Pilne interesa powołały mię przed kilką laty do Zjednoczonych Stanów. Odpłynąłem statkiem parowym, który zwykle między Liwerpolem a Nowym Jorkiem krąży. Byłoto w połowie grudnia, i miałem kilku tylko spólników podróży, których towarzystwo nie wynagradzało mi niewoli trzydziesto-pięciudniowego przejazdu. Wyglądali oni bardzo powszednio, prócz jednego, który mię żywym udziałem dla siebie przejął. Byłto młody Anglik, znakomitego rodu, bardzo ukształcony, lecz głębokiemu oddający się smutkowi. Nieraz James Dixon — tak się bowiem nazywał — przy dość miernym zresztą obiedzie zapominał o jedzeniu i piciu, a nocy spędzał bezsennie, jak to uwagi méj ujść nie mogło, ile że tylko o ścianę, a raczéj o cienką z desek przegrodę odeń mieszkałem. Jakieś szczére współczucie pociągało mię silnie do niego, a dawszy mu tego dowody przy sposobności, wzbudziłem w nim zwolna zaufanie dla siebie.

»Przyrzeknij mi pan« — ozwał się razu jednego do mnie — »że nie będziesz mnie miał za szalonego, a wymienię ci powody, które mię skłoniły opuścić na zawsze ojczyznę, i szukać schronienia w kraju, gdzie żywéj duszy nie znam. Bywają chwile, w których mi się wydaje, jakby całe moje nieszczęsne życie było snem tylko; wkrótce atoli najsroższa rzeczywistość przekonywa mię o smutném przeciwieństwie. Pewien głęboko myślący autor wyraził się, iż w tak ludnych miastach jak Londyn lub Paryż, musi się zdarzać wiele dziwnych, niepojętych wypadków, a jam zbyt drogo przepłacił prawo niewątpienia w prawdę tego pomysłu.

Miałem dwadzieścia siedm lat, gdy mię rodzice odumarli, a cały mój majątek składał się z dochodów, które mojéj chęci znaczenia, nie zupełnie odpowiadały, z poważnego nazwiska, z zamiłowania w pracy, i nie zbyt gruntownych wiadomości, lubo przeszło sześć lat na uniwersytecie Oxfordzkim strawiłem, i liczne premija akademickie odniosłem.

Chciałem zostać adwokatem, i ukończywszy nauki w naszéj szkole prawniczéj, poświęciłem się gorliwie sądowéj praktyce, a nawet cztéry, wprawdzie pomniejsze procesa już prowadziłem, i trzy z nich — z żalem to wyznaję — przegrałem.

Raz pod koniec zimy, dnia 22 lutego 1829 — nigdy nie mogłem zapomnieć téj daty, gdyż odtąd zaczynają się moje tajemnicze doświadczenia i nieszczęścia — spotkałem się z jednym z moich przyjaciół, pilnym i uczciwym człowiekiem, któremu tylko to można było zarzucić, iż był zanadto o swój ubior niedbałym.

»Nie chciałeś wczoraj mię poznać« — rzekł do mnie tonem zarzutu — »gdym cię w ulicy Oxfordzkiéj pozdrawiał.«

»Nie chciałem cię poznać, mój kochany Ralfie?» — odpowiedziałem zdziwiony — »mogę ci ręczyć, że wczoraj noga moja w ulicy Oxfordzkiéj nie postała; miałem przez cały dzień pilne zatrudnienie w domu.«

»Nie tłumacz się; wymówka ta jest gorszą od saméj obrazy; jestem pewien, że

ty to byłeś; widać tylko, iżeś mię chciał uniknąć.«

To rzekłszy oddalił się mój przyjaciel z widocznym żalem ku mnie. Wiedząc z pewnością, że się mylił, nie myślałem więcéj o tak mało znaczącéj drobnostce, gdy wkrótce inna szczególniejsza okoliczność w pamięć mi ją przywiodła. Dawni uczniowie szkoły prawniczéj wyprawili, jak to co roku się dzieje, świetną koleżańską ucztę, na któréj jednak być nie mogłem, czując się nieco chorym. Otóż wyzdrowiawszy, sądziłem rzeczą potrzebną, udać się do jednego z byłych gospodarzy uczty, aby się w téj mierze wytłumaczyć.

»Czyż sobie żartujesz, kochany Dixon?« — zapytał kolega, do którego się udałem. — »Wszakżeśmy cię wszyscy przy stole pomiędzy sobą widzieli; a zresztą temu przynajmniej nie będziesz mógł fałszu zadać.« To mówiąc dobył z biórka spis osób, które były na uczcie. Krzyżyk przy mojém nazwisku poświadczał, iż przypadającą na mnie należytość zapłaciłem. Tak jawnemu dowodowi nie mogłem nic zarzucić; wyszedłem więc zdumiony tém osobliwszém zdarzeniem, którego sobie żadnym sposobem wytłumaczyć nie umiałem. Ale zdziwienie moje miało się jeszcze powiększyć, gdy tego samego wieczora pewien młody panicz, z którym w niejakich stosunkach żyłem, przystąpił do mnie z uśmiéchem, i rzekł wesoło: »Myślałeś kochany Arabczyku, iż nie wiedziałem wczoraj w wieczór, z kim miałem do czynienia?«

»Arabczyku! Wczoraj w wieczór! Cóż pan przez to rozumiesz?«

»O, nie wypieraj się pan, i przyznaj owszem dobrowolnie, że byłes wczoraj na balu maskowym u lady W., za Araba przebrany. Twój kostium, mianowicie przepyszny burnus, wzbudził powszechne podziwienie; byłbym ci wielce obowiązany, gdybyś mi go jeszcze raz chciał pokazać.«

»Zdumiéwasz mię pan jeszcze bardziéj; zapewniam pana, że nie byłem na balu, a nawet nie otrzymałem zaproszenia.«

»Mógłbyś mię pan zwieść może swém udawaniem, gdybym nié miał niezbitego dowodu na to, co mówię. Czyżeś mi pan pod koniec balu nie poszepnął do ucha pewne nazwisko, dotyczące tajemnicy, którą ci powierzyłem?«

»Wierz pan albo nie mojemu zapewnieniu, ale powtarzam panu, iż nie byłem na balu.«

»A więc jedno z dwojga prawdą być musi: albo chcesz mię pan z jakiegoś powodu mistyfikować, na co oczywiście bynajmniéj nie pozwalam, albo nadużyłeś mego zaufania, przypuszczając kogoś trzeciego do tajemnicy, która między nami dwoma pozostać miała. Żegnam pana.«

I poróżniłem się niewinnie z przyjacielem, o którego znajomość mi chodziło.

Nie pojmując właściwéj przyczyny tego kilkokrotnego nieporozumienia, chciałem inny wcale obrót dać moim myślom, i poszedłem przeto w odwidziny do pewnego przyjaźnego mi domu, w którym była panienka, wcale nie obojętna dla mnie. Rodzice jéj widywali mię radzi u siebie, i mogę, nie pochlebiając sobie, powiedziéć, że i Henryka nie była mi przeciwną. Nie oświadczyłem się jeszcze o jéj rękę, lecz wyczytałem już pomyślną odpowiedź w jéj oczach. Gdy przyszedłem, wszyscy zdziwili się mojém stroskaném wejrzeniem.

»A więc straciłeś pan już, jak się zdaje, dzisiejszą poranną wesołość swoję?« nadmieniła Henryka.

»Dziś rano byłem zatopiony w moich papiérach, które rzadko kiedy do śmiéchu mię pobudzają« — odpowiedziałem.

»Wszakże, gdym pana dzisiejszego poranku widziała, nie wyglądałeś bynajmniéj na adwokata, ślęczącego nad swoim kodeksem; i owszem oddawałeś się najgłośniejszéj wesołości.«

»Ja? gdzieżeś-to mię pani widziała?«

»Na rogu ulicy Bondstreet. Tak, niezawodnie; pan-to byłeś; dla czegoż się chcesz zapiérać?«

»Pani się mylisz» — rzekłem przelękniony — »nie byłem dziś w ulicy Bondstreet.«

»Tedy musiałam się pomylić« — przejęła Henryka, nieco zarumieniona —

przecież — mniemałam z pewnością pana widzieć.«

Byłem najmocniéj przekonanym, iż ktoś w żarcie powierzchowność moję i mój strój naśladuje, lecz w jakimże to celu?

Upłynął tydzień bez żadnego nowego zdarzenia. Wreszcie poszedłem na wieczór w pewne towarzystwo, i postrzegłem wyraźnie, iż kilka znajomych mi osób zdaleka mię unikało, i nadzwyczaj zimno na powitanie moje odpowiadało. To mię żywo zniepokoiło. Jakoż udałem się nazajutrz do gospodarza domu, i oświadczywszy, jak mię żywo to obejście się zadziwiło, spytałem go, czy wié, jaki temu jest powód.

»Otwartość pańska wymaga, abym równie otwarcie się wyraził. Otoż krąży pogłoska, iż przed kilką dniami wszedłeś po pijanemu na operę. Potém zakłuciłeś pan spokój publiczny, powadziłeś się z sąsiadami, a gdy policyja w to się wdała, oparłeś się jéj gwałtem, aż wreszcie połączonémi siłami za drzwi cię wytrącono.«

Zaprzeczyłem najdobitniéj tym posądzeniom, oświadczyłem się nawet z gotowością stawienia na tó dowodu, że owego wieczora w teatrze wcale nie byłem — nic nie pomogło.

Postanowiłem więc dołożyć najusilniejszych starań, aby wykryć, kto jest tym moim wtórakiem. Gdym wkrótce potém był na konnych wyścigach, nadszedł jeden z moich przyjaciół, wziął mię za rękę, i winszował mi, że mię zdrowym i całym widzi.

»Ależ nie byłem w żadném niebezpieczeństwie.«

»Czy w istocie? Powiadano mi przecież, iż powóz lorda D. przejechał pana. Wyszczególniano nawet, iż jedno koło przez piersi panu przeszło. Własny pański kolega William Spedden zawiadomił mię o tym wypadku, dodając, iż pana wyraźnie poznał.«

Wróciłem zmieszany do domu; przez całą noc spać nie mogłem; nakoniec pocieszyłem się tą myślą, że z tego dziwnego podobieństwa żadne jeszcze istotne nieszczęście dla mnie nie wyniknęło.

Uspokoiwszy się cokolwiek, wstałem z łóżka; gdy po niedługim czasie pan Eckford wszedł do pokoju. Pan Eckford był bardzo ścisłym przyjacielem mojego ojca, przeco prawie za syna mię uważał. Bogaty, bezżenny, nieco dziwaczny, żył jedynie dla filantropii, i najszczerzéj ubiegał się o naprowadzanie młodych ludzi na drogę cnoty.

Gdym go postrzegł, powstałem, i z najserdeczniejszym przyjąłem go szacunkiem. Rysy jego wyrażały smutek i litość.

»Nie weźmiesz mi pan za złe« — rzekł do mnie — »jeźli synowi mego przyjaciela zarzut uczynię.«

»Zarzut? Zasłużyłem-że na takowy?«

Pan Ekford zmierzył mię okiem.

»Dziwna rzecz« — ozwał się daléj — »że nieraz pod pozorem niewinności, zgubione może na zawsze serce się kryje; i tak np. pan, którego wczorajszéj nocy na pastwę najgwałtowniejszych wzruszeń wydanego widziałem, wyglądasz dziś rano spokojnie i łagodnie. Czyż panu sumienie żadnych nie czyni wyrzutów?«

»Nie wiém, jak sobie słowa pańskie mam tłumaczyć« — odpowiedziałem zmieszany.

»Jakto, chceszże pan zaprzeczać, iż przeszłéj nocy w klubie albiońskim szulerowałeś? Grali z tobą dwaj młokosi, którzy rozgrzani ponczem, każdą stawkę podwajali, luboś pan za każdym razem wygrywał, gdyż grałeś na pewno — fałszywie.«

Tak bezecne obwinienie oburzyło mię niesłychanie; broniłem się najusilniéj, i miałem słuszność za sobą, bo od sześciu tygodni nie byłem ani razu w klubie albiońskim.

»Jak widzę, istnieje jakiś spisek okropny, który mię chce zgubić; jestem ofiarą obrzydłéj machinacyi« — rzekłem z boleścią.

Pan Eckford potrząsł głową z niedowierzaniem, i ozwał się:

»Nie wiesz pan sam, co mówisz. W téj chwili byłyby rady moje bez skutku. Opuszczam pana, lecz nie wmówisz we mnie, iż moje własne oczy mię zawiodły.«

»Nie mogłeś mię pan widzieć, przysięgam panu.«

»Obstajesz koniecznie przy swojém. Ha, dobrze; powiédz mi tedy, czyś pan wczoraj nie sprzedał swojéj kamienicy przy ulicy Bedfort?«

To mię jak gromem poraziło. Zawarłem był wczoraj istotnie wzmiankowaną przez pana Eckford sprzedaż, która zresztą nie wielkiéj wagi była; lecz myślałem, iż nikt o tém nie wié.

»I dla czegoż mię pan o to pytasz?« przejąłem.

»Aby pana przekonać, iż nadaremnie zwieść mię pragniesz. Stawiając garść złota na kartę, rzekłeś, jak to na własne uszy uszyszałem: »Jeźli stracę, tedy mam się czém poprawić; gdyż sprzedałem przed chwilą kamienicę w ulicy Bedfordskiéj. Czyż pan i to chcesz zaprzeczać?«

»Na miłość Boga!« zawołałem — »opuść mię pan czémprędzéj, bo w istocie sam nie wiém, czy jestem przy zdrowych zmysłach.«

Eckford uśmiéchnął się miłosiernie, i wyszedł.

Zostałem przez kilka dni w domu; obawiałem się, aby znowu na świat się pokazując, jakiego nowego nieszczęścia, nowego posądzenia na się nie ściągnąć. Wtém nadniesiono mi list od ojca Henryki. Otworzyłem go, i ledwie własnym oczom uwierzyć mogłem.

»Po twoim niedawnym postępku, mój panie, nie potrzeba żadnego dalszego tłumaczenia się, żadnych wymówek. Nie spodziéwam się, abyś był tak bezwstydnym, i chciał nas jeszcze nadal odwidzać. Na wszelki wypadek oznajmiam ci, iż dom nasz na przyszłość jest ci zamkniętym. Moja córka miała wprzódy uczucie szacunku dla ciebie; odtąd imię twoje tylko wstrętem przejmować ją może; nikt z naszéj rodziny nie będzie nadal utrzymywał z tobą stosunków.«

Nagły piorun z jasnego nieba, nie zdołałby był okropniéj we mnie ugodzić, jak ta wieść niespodziana. Poleciałem natychmiast do ojca Henryki, ale nie przypuszczono mnie; napisałem list, odesłano mi go nierozpieczętowany. We dwa dni doszła mię wiadomość, iż cała rodzina do odległéj majętności wiejskiéj odjechała. Przekupiłem znaczną kwotą pokojówkę Henryki, aby jéj doręczyła list ode mnie, w którym groziłem samobójstwem, gdybym nie otrzymał w odpowiedź słów kilka, wyjaśniających mi to nieszczęsne nieporozumienie.

»Tak jest« — odpisała mi Henryka — »zaszła istotnie pomyłka: miałam pana za człowieka zacnego. Wielki Boże! jakżem się mocno zawiodła! Moje własne zmysły poświadczają mi tę smutną prawdę. Nie pisz pan więcéj do mnie, gdyż byłoby to zupełnie nadaremnie. Nie pytaj pan o przyczynę naszego postępowania, znasz ją pan sam najlepiéj. Prosiłam ojca aby nie wyjawiał tajemnicy przed bratem Williamem, którego z Indyjów oczekujemy. Znasz pan jego charakter; wyzwanie byłoby nieuchronnym skutkiem, i w każdym razie krwawyby koniec wzięło.»

Byłem blizkim obłąkania, Jako? Za zbrodnią, któréj istoty bynajmniej domyśléć się nie mogłem, rozłączono mię nazawsze z kochanką, wygnano mię z rodziny, która zawsze najszczérszy okazywała mi szacunek?

Dla skierowania myśli moich w inną stronę, poszedłem w wieczór do teatru Drury-lane. Poznałem Henrykę w loży lady M. Wyglądała bardzo blado, i nie mogłem wątpić, iż była chora. Patrzyłem w nią z bolesném uczuciem w sercu, aż naraz ujrzałem, jak szybkim ruchem głowy odwróciła oczy w przeciwną stronę od téj, w któréj dotąd je trzymała. Wzruszenie jéj zdało się być bardzo wielkie. Spojrzałem tam, i obaczyłem człowieka, zupełnie do mnie podobnego. Był on sam jeden w loży, i z bezczelną śmiałością przypatrywał się Henryce przez lornetkę. Nagle skierował śkła swoje ku mnie, i przyjaźnie mię powitał. Wściekłość mię zdjęła; czułem, iż los mój rozstrzygnąć się musi; prawie bez zmysłów pobiegłem do loży, w któréj mojego drugiego siebie widziałem, lecz już go tam nie było. Nieznajomy wyszedł właśnie przed chwilą. Napróżno szukałem go po całym teatrze: zniknął bez śladu.

Podobnie też nadarmo łamałem sobie głowę nad rozwiązaniem téj zagadki. Prócz tego płatał mi mój drugi ja tysiąc innych psot drobnych, których wymieniać nie chcę; wreszcie nie wiedziałem już co począć, jak się zachować; poróżniłem się z przyjaciołmi; nawet szczérze przychylne mi osoby miały mię w końcu za obłąkanego, a przecież posiadałem zdrowe zmysły.

Jednego razu szedłem boczną, dość odludną ulicą, i postrzegłem iż jacyś dwaj ludzie nieco podejrzanego wejrzenia zdala mi towarzyszyli. To zniepokoiło mię; podwoiłem kroku, oni toż samo; zwróciłem w inną stronę, oni zawsze szli za mną. Nareszcie zbliżył się jeden z nich do mnie, oznajmiając mi, iż są siepaczami policyjnymi, i mają zlecenie przyaresztowania mię, przeco nie powinienem się wzbraniać, gdyż to tylko pogorszyłoby sprawę. Zapytałem o powód przytrzymania, odpowiedziano mi, iż się tego przed sądem dowiém. Przybywm tedy do sądu, i muszę długo czekać, podczas gdy sędzia dopiéro szukać każe osoby, która mię zaskarżyła. W końcu nadchodzi jakiś młody, przyzwoicie ubrany mężczyzna, użalający się, iż się dał uwieść do zwidzenia pokątnéj kawiarni, gdzie grano wysoko w karty. Widział on mię tam pomiędzy szulerami, i słyszał, jak mię niektórzy po imieniu wołali, zważał też kiedy wyszedłem, i wkrótce sam to miejsce opuścił. Była wtedy piérwsza godzina z północy. Zaledwie wyszedłszy na ulicę, uczuł, że mu ktoś ukradkiem do kieszeni sięgnął, i sakiewkę z pieniędzmi wyciągnął. Byłemto ja. Okradziony bieży za mną, i pochwytuje mię w ulicy Cliffoid. Ja nie opierałem się, przeciwnik mój miał dość czasu do rozeznania przy świetle gazowém moich rysów, aż nagle niespodzianym zwrotem umknąć mi się powiodło. Wszakże wiedział przynajmniéj z kim miał do czynienia, i uwiadomił o mnie policyję.

Przyjaciel oskarzyciela złożył świadectwo, zgodne we wszystkiém z poprzedniczém zeznaniem; mówił on sam ze mną, brał odemnie pieniądze, opowiadał, iż straciwszy ostatnią gwineję, zaprzysiągłem się, że takowa wkrótce nazad do kieszeni mojéj powróci.

Sędzia zapytał mię, co na to mam powiedzieć. Przytoczyłem więc na moję obronę, iż wielokrotnie już przez podobne pomyłki wiele napaści cierpieć musiałem, że jestem ofiarą jakiegoś niepojętego spisku, i odmalowawszy wymownie nieszczęścia moje, zakończyłem twierdzeniem, że mogę wymienić osoby, które są w stanie udowodnić moje ***alibi***.

„Pragnę z duszy”— odpowiedział sędzia— „abyś pan niewinność swoję wykazać zdołał; ztémwszystkiém, przywiedzione przeciw panu zaskarzenie jest tak dowodne i oczywiste, iż nie jest w mojéj mocy, wypuścić pana na wolność. Co pan nam o swojém drugiém *ja* prawisz, jest tak nieprawdopodobne, że nawet w rozpoznanie tego wdawać się nie śmiém. Bądź co bądź, sąd rozporządzi gorliwe poszukiwania, i być może, iż dojdzie istoty rzeczy; tymczasem jednak widzę się zmuszonym kazać pana do więzienia zaprowadzić.”

Już sam nie wiém co się ze mną w czasie kilkutygodniowego roztrząsania procesu mego działo. Wreszcie wysłuchano wszystkich świadków i odczytano im protokół. Byłem zgubiony. Położenie moje nie miało może nigdy równego sobie; to też niepodobieństwem prawie, powziąć niejakie o niém wyobrażenie. Mogłem się powołać na świadectwo mojego sługi, dla przekonania, że w chwili, kiedy mój fałszywy wtórak dozwolił się przyaresztować, siedziałem spokojnie w swojém mieszkaniu; mogłem wymienić piętnaście znakomitych osób, które najzaszczytniejsze zeznanie o moim charakterze i sposobie życia do protokółu podali. Mimo to wszystko pozostałem dwa miesiące w więzieniu, i znosiłem najohydniejszą męczarnię.

Wreszcie nadeszła chwila, gdzie przed sędziami stanąć musiałem. Świadomość niewinności mojéj dodawała mi odwagi. Wszelako zaledwie rozprawy się rozpoczęły, zacząłem powątpiewać o pomyślnym skutku. Zeznanie młodego człowieka, którego miałem okraść, i który na uczynku mię schwytał, zdawało mi się niezbitém; przeszło sześć osób, zupełnie mi nieznanych, przysięgło, iż mię w szulerni widzieli. Na dobitkę wystąpił jeszcze mój stary przyjaciel, p. Eckford przeciwko mnie, świadcząc, iż widział mię wchodzącego do kawiarni, udał się za mną, i przez cały wieczór miał mię na oku. Sumienie jego nakazywało mu nie zamilczéć prawdy, a na nieszczęście nie powątpiéwał on wcale o niéj.

W obec takich świadków, jedyne zeznanie mojego służącego, nie miało wielkiéj wagi. Usiłowałem więc zabrać głos, i jąłem cały mój żywot dokładnia opisywać. Nie dano mi jednak dojść do połowy, tak żywe oburzenie ozwało się w całém zgromadzeniu, obrażoném zmyśloną niby przeze mnie bajką, fałszywie wyrachowaną obroną. Nie zastanawiali się więc przysięgli ani dwadzieścia pięć sekund nad moim losem. Wyrzeczono jednogłośnie, że jestem winnym. Skazano mię na sześć miesięcy więzienia — zresztą bardzo łagodną karę, która w całéj publiczności, tłumnie od samego ranku dla przypatrzenia mi się, na dziedzińcu sądu przysięgłych zebranéj, najwyższe niezadowolenie wywołała. Nie żądano wprawdzie, aby mię powieszono, lecz powinienem był ich zdaniem na całe życie być deportowanym.

Nie będę opisywał moich uczuć w chwili odczytania mi wyroku, ani w całym przeciągu czasu, który w więzieniu strawiłem. Imię moje było na zawsze pohańbione, nikt nie wątpił o mojém zbro-

dniarstwie, i dziwiono się tylko, że tak uporczywie przywodziłem na moje usprawiedliwienie bajki, jakie zaledwie wyczerpana wyobraźnia pewnych romansopisarzy wymyślić zdoła. Kilku przyjaciół okazywało mi zrazu spółczucie, później jednak rzadko kiedy mię odwidzali, a w ostatnim miesiącu mojej niewoli byłem zupełnie samotnym. Wyszedłszy na wolność, ujrzałem się z całego towarzystwa wykluczonym, nawet moi rodzice, gdyby jeszcze przy życiu, byliby mnie się wstydzili, a przecież czułem się zupełnie wolnym od wszelkiéj winy, i nie mogłem dosięgnąć tego niegodziwca, który mię w tę przepaść nieszczęścia wtrącił.

Dnia 21 października otwarły się przede mną bramy więzienia. Lękałem się pokazać się na ulicy, i nie wyszedłem wprzód z więzienia, aż się zmierzchło.

Miałem przy sobie klucze do mego mieszkania, i rad byłem ujrzéć znowu to ciche, spokojne miejsce, gdziem się poważnym oddawał naukom, gdzie mi się niegdyś tak piękna uśmiéchała przyszłość.

Wszedłem, i porażony strachem, cofnąłem się w progu: bujny ogień płonął na moim kominku, książki moje leżały rozrzucone na stole, dawną moją lampą oświetlonym; w poręczowém krześle mojém siedział jakiś nieznajomy. Gdym się zbliżył, on obrócił się do mnie: poznałem w nim moje rysy twarzy, moję postawę. Ktoż jest ta nieodgadnięta istota?

Padłem omdlały na ziemię. Przez sześć tygodni pastwiła się nerwowa gorączka nade mną Z początku wątpiono o mojém wyzdrowieniu, potém zaczęto się lękać o mój rozum. Nareszcie odzyskawszy zupełną przytomność zmysłów, dowiedziałem się, iż kilka osób, zwabionych odgłosem mojego upadnięcia, znalazło mię wpół nieżywym na posadzce. Co do mego drugiego *ja*, ten znikł bez śladu.

Powziąłem szybko stanowcze postanowienie. Spieniężyłem wszystko moje mienie, i wybrałem się w ucieczkę przed nieprzyjacielem, który był poza obrębem mojéj władzy. Ustąpiłem wrogowi, którego ciosów uniknąć nie mogłem, a który, ile razy już go dosięgnąć mniemałem, jakby cień zprzed oczu mi znikał.» —

Takie było szczególniejsze opowiadanie mego towarzysza podróży do Ameryki.

Wyobrażałem sobie, iż nieborak jest nie spełna zmysłów; lecz we dwa lata później zeszedłem się z nim powtórnie w Filadelfii, gdzie pod przybranem nazwiskiem posadę przy trybunale sprawiedliwości zajmował.

»Uczuwam ciągle jeszcze trwogę zabobonną» — rzekł do mnie — „gdy sobie przypomnę owe zdarzenia w Londynie, które panu opowiedziałem. Powtarzam sobie nieustannie, iż powinienem je zapomnieć, lecz nie jestto jedynym środkiem którego do zatarcia téj pamięci używam. Oddałem się z tego powodu najusilniejszym studyjom, którym moje obecne położenie zawdzięczam. Prócz tego utrzymuję żywą korespondencyję z moim starym przyjacielem panem Eckfordem. Pragnie on tak mocno dowodów mojej niewinności i przywrócenia mi napowrót dobréj sławy, iż nie szczędzi ani osobistych starań, ani kosztów, aby uchylić zasłonę téj zgubnéj tajemnicy Wszakże aż potąd nie powiodło mu się wykryć machinacyj, których ofiarą padłem.”

Portret grenadyjera.

Horacy Vernet jest wielkim przyjacielem żołnierzy; w młodości był sam oficerem, i celuje głównie w przedstawieniu czynów wojennych; jak tego dowodem wersalska galeryja historyczna, którą Vernet tylą mistrzowskiemi obrazami bitew ozdobił.

W ostatnich latach restauracyi stał drugi pułk grenadyjerów konnych, pod dowództwem pułkownika Robusson, szwagra Verneta, wraz z innymi oddziałami załogą w Paryżu. Grenadyjer Blandurau, jeden z najpiękniejszych ludzi tego dobornego korpusu, miał nadzwyczajnie tkliwe przywiązanie do swojéj staréj matki, która z utęsknieniem powrotu syna do domu oczekiwała, jakoteż do onéj małéj wioski w Pikardyi, gdzie stała jego rodzinna chatka, i mawiał nieraz w poufnéj z przyjaciołmi pogadance, iż niczegoby sobie tak bardzo nie życzył, jak być w stanie posłać swój portret do domu. Jako dobry syn chciał on przez to ukoić niecierpliwą tęsknotę staréj matki; zarazem jednak miał on przytém jeszcze inny cel w myśli: mniemał, że plastyczne wyobrażenie jego zalet fizycznych, wespół z blaskiem świécącego munduru, zdoła na nowo rozbudzić przygasłą może miłość w sercu pewnéj ukochanej dziewczyny, i zniweczyć zabiegi zawistnych spółzalotników.

Atoli łatwiéj było powziąć życzenie, niżli je spełnić. Żołd grenadyjera konnego jakkolwiek znaczny, wystarczał zaledwie na drobne przyjemności, w jakie stolica tak wielce obfituje, a tém mniéj można było opędzić nim kosztowne honorarium artysty. Mimo wszelkiego dobrego rozumienia o swojéj powierzchowności, tyle przecież Blandureau wiedział, iż zaszczyt odmalowania pięknego żołnierza, nie jest dostateczną nagrodą dla artysty.

Otoż jeden z jego wesołych towarzyszy, znając frasunek swego kolegi, rzekł doń po przyjacielsku: „Słuchajno Blandureau, nieporadny człowiek z ciebie; na twojém miejscu, wiedziałbym ja co zrobić. Jakto! Chcesz się dać malować, a nie pomyślałeś o szwagrze naszego pułkownika? To, mówię ci, diabeł nie człowiek, rozumie się na farbach, i zrobi ci to lepiéj niż ktokolwiek. Pójdź do niego.”

Ta rada przystała do serca Blandureau'wi. Zaraz nazajutrz, odbywszy służbę, i mając pozwolenie wyjścia na miasto, spojrzał jeszcze raz badawczo po sobie, i zdawał się być zupełnie z siebie zadowolonym.

Niebawem stanął w mieszkaniu malarza Verneta; gdzie lokaj go oznajmił. Artysta ukończył właśnie jeden z owych pysznych obrazów, które w dzisiejszéj szkole francuzkiéj piérwsze miejsce mu zapewniają. Przyzwyczajony do otrzymywania listów swego szwagra na ręce żołnierzy, nie odłożył nawet pędzla na stronę, i spytał tylko: »Cóż tam?«

Grenadyjer przybrał marsową minę, i posunął się o kilka kroków naprzód: »Mam tu mały interesik do pana, panie Vernet. Opowiém go w trzech słowach. Życzyłbym sobie z duszy, posłać swój portret staruszce matce. A że mi powiedziano, iż pan się na tych rzeczach rozumiesz, przeto osądziłem za rzecz stosowną, udać się najprzód do pana; ile że pan jesteś szwagrem naszego pułkownika, i zdajesz się być uczciwym człowiekiem.«

»Bardzo obowiązany, grenadyjerze!«

»Zresztą, byleś mię pan tylko trafił, nie będę żałował zapłaty. Oszczędziłem sobie cokolwiek, a skoro obraz nieźle wypadnie, dam panu 5 franków na rękę, Blandureau moje imię!«

»A więc pięć franków? Dobrze.«

Ale powiadam panu, portret musi być trafionym, inaczéj —«

»Inaczéj nie dasz mi ani grosza.«

»Dobrze więc — siadam.« — Grenadyjer usadowił się, Vernet wziął pędzel w rękę, a zanim godzina upłynęła, rzekł artysta:

»Dość już; jeszcze tylko kilka razy pędzlem pociągnę. Przyjdź pan za tydzień, a będziesz miał swój portret; jeżli zaś trafionym nie będzie...«

»Tedy ani grosza pan nie dostaniesz.«

»Nie inaczéj.«

Po upływie tygodnia zgłosił się grenadyjer o swój portret. Zaledwie wszedł do pracowni, uderzył go widok świetnego, w złociste ramy oprawionego obrazu, który wisiał naprzeciw drzwi na ścianie.

»Do stu katów! Wszakto ja!« zawołał żołnierz uradowany. »Patrz pan jak to się teraz ładnie wydaje! Nié ma co mówić, dzielnie się pan spisałeś!« To rzekłszy, pełen zachwycenia sięgnął do kieszeni po przyrzeczoną pięciufrankówkę. »Ha, bądź jak bądź, wart pan jesteś pięciu franków; oto je pan masz, i ręczę panu słowem grenadyjerskiém, że mi ich nie żal.«

»Jesteś pan więc kontent? No, témci lepiéj; gdyż i ja także zadowolony jestem, i dla tego nie żądam żadnéj innéj nagrody.«

»Jak to?«

»Weź pan swój portret, odeślij go swojéj matce, i zatrzymaj swoje pięć franków. Za to proszę cię, abyś za moje zdrowie spełnił.«

»Co, pięć franków przepić! Panie Vernet! powiadano mi że pan uczciwym człowiekiem jesteś, ale co mi każesz, tego się nie spodziéwałem! Jednakże przez wdzięczność nastręczę panu roboty co niemiara! Bo jakże! Doskonale trafiony portret, złociste ramy, i jeszcze pięć franków na przepitek — panie Vernet przyślę tu panu pułk cały!«

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład **Piotra Pillera**) wyszedł nr. 30ty i zawiéra: 1) O rolnictwie płodozmiennem. (Ciąg dalszy) 2) Franciszka Abgarowicza: O przygotowywaniu gnoju i gnojowiskach w Hohenhejmie. (Z ryciną). 3) Wiadomości handlowe i przemysłowe.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją **Tomasza Kulczyckiego**, wyszedł nr. 16ty i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Salon i ulica. Obrazek z życia, przez Józefa Dzierzkowskiego. (Dokończenie). 2) Zimowym zmrokiem. Wiersz Kornela Ujejskiego. 3) Listy z Wrocławia. 4) Kronika literacka. 5) Kronika muzyczna. 6) Rozmaitość.

Z Warszawy. *Biblijoteka warszawska* za miesiąc lipiec zawiéra: 2) Niektóre wiadomości o mieście okręgowém Kraśniku, przez ks. T. T. 2) Palec boży, z familijnego podania powieść przez A. A. Kosińskiego. 5) Dostrzeżenia planety Neptuna, wykonane w obserwatoryjum warszawskiém w roku 1846, przez J. Baranowskiego. 5) Wstęp do wiadomości biblijograficznéj o rękopismach zawiérających w sobie rzeczy polskie, przejrzanych po niektórych biblijotekach i archiwach zagranicznych w latach 1846 i 1847, przez Aleks. Przezdzieckiego. 5) Kronika literacka. 6) Rozmaitości. 7) Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych. 8) Kronika biblijograficzna. Doniesienia literackie. Dostrzeżenia meteorologiczne.

Sławni lekarze polscy. W jednym z tegorocznych numerów »Gazety lekarskiéj rosyjskiéj« jest wzmianka, że piérwszym *lajbmedykiem* rosyjskim był Polak Jan Zmer czyli Zmera, zwany w kronikach *Archiater magni ducis Vladimiri I.* Tenże Zmer używany był przez wspomnionego monarchę do poselstw dyplomatycznych w Grecyi, a nawet w Egipcie. — Najsławniejszym w póżniejszych czasach lekarzem polskim był Józef Struś, urodzony roku 1510 w Poznaniu, uczeń akademii Krakowskiéj, w 24 roku życia profesor medycyny w akademii Padewskiéj, piérwszy tłumacz pism Galena. Zygmunt August, oceniając jego talenta, przyzwał go nazad do Polski i mianował lekarzem nadwornym siostry swojéj Izabeli Węgierskiéj. Wkrótce sława Strusia rozeszła się po całéj Europie, a Soliman II, cesarz Turecki, w ciężkiéj chorobie, po daremném radzeniu się najzawołańszych Indyi i Arabii lekarzy, przyzwał Strusia do siebie, i poddał los swego zdrowia jego staraniom; w czem nie był zawiedziony, gdyż wkrótce najzupełniejsze zdrowie odzyskał. Filip II, król Hiszpański, podobnież często udawał się o radę do Strusia w swoich niemocach, usiłował nawet przyciągnąć go do siebie, lecz Zygmunt August nie dopuścił, iżby talent tak chlubny i użyteczny dla Polski miał ją opuścić; powołał go przeto do siebie i obsypawszy dostatki i zaszczytami, mianował go swoim piérwszym lekarzem. Tamto na dworze Zygmunta napisał a w swojém rodzinném mieście Poznaniu wydał Struś sławne dzieło »o pulsie«, w którém od 1200 lat zapomnianą naukę w tym przedmiocie wznowił. Pismo to, którego właśnie odradzającéj się medycynie brakowało, z wielką niecierpliwością przez wszystkie akademije europejskie oczekiwane, z tak odznaczającym się zaszczytem przyjęte zostało, że tego samego dnia, w którym z Bazylei do Padwy nadeszło, w przeciągu kilku godzin 800 egzemplarzy onego rozebrano.

Pomniki starożytnego rzeźbiarstwa, przywiezione przez Bottę i Flandina z Niniwy do Paryża, wzbudzają najwszechstronniejsze zajęcie. Naj-

przód nie mogą się wszyscy nadziwić anatomicznéj dokładności i prawdziwie greckiéj piękności, z jaką każda figura jest urobiona, chociaż Niniwa od trzech tysięcy lat już nie istnieje, a ci, którzy zwykle twierdzili; że greckie umnictwo było początkiem i końcem wszelkich sztuk pięknych, nie wiedzą teraz, co na to powiedzieć mają. Przytém zdumiewa kolosalność tych utworów najstarożytniejszéj sztuki. I tak np. wykopano w Niniwie między innémi Herkulesa, co lwa jedną ręką dławi, mierzącego dwadzieścia stóp wysokości, a przecież był ten posąg tylko drobną ozdóbką przy całéj olbrzymiéj budowie. Podobne kolosalne rozmiary znajdujemy w całéj architekturze starożytnego Egiptu. Przed jednym z pałaców w Tebach, zprzed którego wzięto sławny obelisk, stał szereg trzech tysięcy sfinksów z granitu, każdy 50u stóp długości, a na szczycie jednéj z kolumn tego pałacu, mogłoby 120 ludzi stać wygodnie. Jakże małe i drobne wydają się przy tém nasze budowy i pięknotwory. Inną osobliwością, któréj przepomnieć nie należy, jest, iż na pomnikach niniwskich, podobnie jak i na starych greckich, zwierzęta w porównaniu z ludźmi za małe są przedstawione. Mężczyźni stérczą wysoko ponad końmi. Wspomniony Herkules trzyma lwa pod ramieniem, jak teraz dama swego pieska bolońskiego. Czyż ludzie w starożytności rzeczywiście daleko wyższego byli wzrostu, niż pokolenia dzisiejsze?

Nowa wyprawa ku biegunowi północnemu. Kapitan Ross, synowiec sławnego podróżnika, który r. 1820 piérwszą podróż ku północnemu biegunowi odbył, jest równie przedsiębiorczym jak stryj jego. Niedawno przedłożył angielskiemu rządowi plan nowéj wyprawy badawczéj, którahy aż poza Szpicbergi sięgała. Osada okrętowa ma pod jesień stanąć na zachodniém wybrzeżu Grenlandyi i tam zimę przepędzić. Ponieważ morze przez pięć miesięcy grubym okryte jest lodem, przeto radzi kapitan Ross, aby całe lodowate morze sankami przebyć, i tak dostać się aż do nieznanego jeszcze archipelagu, który bez wątpienia ląd stały ogranicza. Dla dopięcia tego zamiaru zawnioskował śmiały żeglarz następne środki: wyprawić dziesięcioro sanek umyślnéj budowy na miejsce, gdzie ekspedycyja zimę ma oczekiwać; zaopatrzyć się dostateczną ilością dużych silnych psów i żywnością. Skoro morze przymarznie, wyruszą podróżnicy ze Smith-sound. Przybywszy u 79 stopnia północnéj szérokości upatrzą podróżnicy na wybrzeżu grenlandzkiém lub na odleglejszych dolinach stosowne miejsce do przechowania części żywności. Według pośrednich obliczeń będzie się można dostać na to miejsce około lutego, a w marcu pomknie się wyprawa o dwa stopnie wyżéj ku północy na inną stacyję, zkąd część osady po lodzie, lecz zawsze w pobliżu brzegów, coraz daléj posuwać się będzie. W ten sposób mają podróżnicy dla osiągnienia swego celu w prostéj linii drogę 150o mil angielskich przebyć.

Nowości teatralne w Paryżu. Najświeższym utworem scenicznym jest siedmio-aktowy dramat Aleksandra Dumasa pod napisem »Żyrondyści«, przedstawiający najważniejsze sceny i epizody owéj śmiertelnéj walki między stronnictwem »Góry« a Żyrondystów w Konwencie. Marat i Karolina Corday, Buzot i pani Roland, burzliwe posiedzenia konwentu, powstanie 31 maja, rozruchy 2 i 3 czerwca, aż do uczty ostatniéj i stracenia naczelników Żyrondy, stanowią osnowę téj sztuki, ktora przy niesłychaném upowszechnieniu się nowego Lamartinowskiego dzieła o Żyrondystach, i przy właściwém Dumasowi żywém, pełném ognia i zajęcia przedstawieniu tak wzniosłéj treści; niezwykłe zapewne będzie miała powodzenie. — Zresztą utrzymuje się ciągle jeszcze Feliksa Pyata »Szmaciarz Paryzki«, nieprzypuszczający dotąd żadnéj innéj nowości na scenę. Od czasu »Maryi Joanny, matki z ludu«, nie zyskał żaden utwór sceniczny tak powszechnéj wziętości, nie znalazł tak żywego odgłosu we wszystkich warstwach ludu. Szmaciarze paryzcy, pomiędzy którymi ludzie różnych klas i zdolności się znajdują, wyprawili do autora deputacyję z wieńcem laurowym, i wcale ładnym wierszem, ogłoszonym w »Gazecie teatralnéj« paryzkiéj. Co wieczór, gdy się publiczność przed teatrem Porte St. Martin zbiéra, widać najdziwniejsze grupy w niewidzianych potąd nigdy kostiumach, okryte pyłem i błotem, jakby z dalekiéj powracały podróży. Są to szmaciarze z żonami i dziećmi, którzy w swoich odległych mieszkaniach na placu Maubert albo przy Barrière St. Jacques o »Szmaciarzu« w teatrze St. Martin słyszeli, i częścią z ciekawości, częścią też z *esprit de corps* sztukę tę widzieć przyszli. Cóż za naiwna, zajmująca, wszystkiémi zmysłami używająca publiczność— ci szmaciarze na ostatniéj galeryi, i jak prawdziwa, i trafna jest ich krytyka! Ile razy autor przeciw rzeczywistości uchybił, ile razy która osoba na scenie coś powié lub uczyni, co się nie zgadza z naturalnością i prawdą, natychmiast szmaciarz na galeryi zżyma się i mruczy: »*Faut-il qu'un homme soit bête, pour faire comme cela!* Potrzeba głupca, aby coś podobnego powiedzieć!« Kto ze sztuki jak »Maryja Joanna« lub »Szmaciarz« prawdziwe chce miéć zadowolenie, niech siędzie na ostatniéj galeryi, w pośrodku tej publiczności w bluzach i fartuchach, niech słucha pilnie, co wokoło niego mówią, uważa te co chwila mieniące się fizyjonomije, a dopiéro pojmie te gminne dramata, które u nas tak niesłusznie jakąś arystoteliczno-estetyczno-moralną piędzią mierzą.

Mylna narzeczona. Policyi hamburskiéj wydarzył się przypadek, iż mylną narzeczonę do Ameryki wyprawiła. Zdarzyło się to w ten sposób: Pewien niemiecki rzemieślniczy czeladnik, wywędrował do Ameryki, i zgłosił się po kilku latach z prośbą u magistratu hamburskiego, aby mu jego ukochaną Ernestynę wynaleźć, i dołączonym przy prośbie kosztem do Ameryki wysłać. Magistrat odesłał tę prośbę do policyi, która się gorliwie tego przyjemnego obowiązku podjęła, i w istocie też jedną Ernestynę, oddawna już do swego zamorskiego Henryka utęskniającą, na koszt jego do nowego świata wysłała. Wystawmyż sobie zadziwienie i zawód biédnego kochanka, gdy się okazało, iż nadesłana i urzędownie poświadczona Ernestyna, nie była tą samą, lecz mylną, cudzą, inną zupełnie Ernestyną, która też równie kogo innego ujrzeć się spodziéwała, i równie nieprzyjemnie się zawiodła. A to wszystko stało się tylko przez jednę niewyraźnie napisaną głoskę w imieniu. Na dalszą więc rekwizycyję musi policyja hamburska mylną narzeczoną nazad odebrać z Ameryki, a prawdziwą, nareszcie odszukaną, tamże odstawić, przyczém podwójne koszta przewozu ponieść. Prawdziwa narzeczona, jak słychać, ma już swoje rzeczy w pogotowiu do podróży.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.